

Czy(m) jest „system”?

Lech L. Przychodzki

Od dwu lat mieszkam w nader prowincjonalnym miasteczku. Wcześniej, z kilku przerwami na świeższe powietrze, mieszkałem w innym prowincjonalnym grajdołku, претендующим do miana Stolicy Kultury Europejskiej w roku 2016.

Prowincja - wciąż ci sami ludzie, decydujący o losach innych, te same pomysły na bandycką „prywatyzację” mienia państwowego, ci sami twórcy (takimi są w oczach urzędników, reszta nie ma znaczenia) i brak akceptacji wszystkiego, co odstaje od szarej i nudnej sztampy. Łysi i kibice groźniejsi tu, niż w dużych ośrodkach, biurokraci bardziej pewni własnej nieomyślności (i bezkarności), a literaci piją mniej, bo „nie wypada”. Zaiste, na co dzień pełnią zazwyczaj role samorządowych notabli średniego (jak ich teksty) szczebla, toteż i „nie wypada” naprawdę zalewać się w godzinach poważnej pracy, mierzonej kolejnymi intrygami, filizankami kawy i prywatnymi telefonami ze służbowych telefonów.

Któryś z moich znajomych powiedział rozsądnie - „Prowincja mieści się w głowach”. Dokładny ogląd potwierdza tę tezę. Fałszywy (a służący za szyld) katolicyzm, pęd do lokalnej kariery, brak podstawowej wiedzy i takich że manier, pewność siebie i nabożne uwielbienie do wszystkiego, co „cywilizowane” (czyt.: z większego grajdołka). Do tego: egoizm, pieniacstwo czy strach przed nowym/obcym. I decydująca o przetrwaniu, utrzymująca kretynów na fali kolejnych zmian, spiskowa teoria bycia-w-świecie - funkcjonowanie wyłącznie w ramach towarzyskich klik. Poza kliką prowincjusz jest nikim. Czyli sobą.

Ci „prawdziwi”, fachowi w swojej dziedzinie, rozwinąć się mogą wyłącznie poza prowincją. Kim byłby np. Marek Grechuta, pozostawszy w Zamościu? Pytanie retoryczne. (W tym samym Zamościu tworzył przed II wojną Leśmian, ale były to czasy konkurencji uczciwszej, niżli w PRL-u czy obecnym wcieleniu polskiego kapitalizmu). A dotyczy setek zdolnych ludzi, nie akceptowanych przez prowincjonalne średniactwo. Prowincja ma zalety - mniejszy tu wyścig szczurów, bo i tak karty dawno rozdane - żaden wysiłek nie zda się na nic, skoro jest się „poza układem”. Można pracować spokojniej, bez zewnętrznych nacisków. Ale też można osiągnąć stan bez nacisku wewnętrznego, co gwarantuje błogie samozadowolenie i dołączenie do grona przeciętniaków. Tak kończy większość, bo wysiłek nie jest bynajmniej ulubionym zajęciem *homo sapiens*. Łatwiej utrudniać życie innym, podejrzanym choćby o wychylenie się przed szereg.

Przykłady? Pracujemy teraz z poetą, Stachem Gaszyńskim nad jego trzecim tomikiem wierszy. O ilustracje poprosiliśmy Jerzego Jakubów - a kowarski mistrz przesłał nam teksty poczytał i swoją pracę wykonał w nader szybkim tempie. I byłoby dobrze, gdyby Staszek nie pokazał rysunków kilku lubelskim kolegom po piórze, wielokrotnie regionalnie nagradzonym, urzędniczo uznanym i na tzw. stołkach. Najpierw okazało się, że Jakubów to „satanista” - tak nasi wielcy odczytali cykl 4 ilustracji do wierszy religijnych Gaszyńskiego. Potem dopatrywać się zaczęto plagiatów plastycznych, a gdy i to pocziwy Stach zdzierzył, z symbolicznej postaci, nachylonej nad pustynnym jeziorkiem, koledzy po fachu uczynili wymiotującego pijaka.

To przeważyło - trapiiony już wątpliwościami nieszczęsny autor powiedział tylko: „Debile” i przestał się przejmować uwagami lokalnych mędrców. Jerzemu także nie było do śmiechu - nie rozumiał „lubelskiej szkoły interpretacji sztuki” i bał się, iż Gaszyński ule-

gnie natarczywym podszeptom, by grafika poszukał jednak na miejscu, nie w dalekich Kar-konoszach. Bo o to w gruncie rzeczy chodziło...

Od prowincjonalności (proszę, by nikt nie mylił jej z lokalnością czy regionalizmem) niedaleko do posłuszeństwa wobec „systemu”.

Czym jest „system” - definicji tyle, ilu badaczy, o zgodę trudno. Znacznie prościej de-finiować poprzez negację - podobnie jak w kwestii rozumienia kategorii wolności: łatwiej nam określić czym na pewno ona NIE JEST, niżli co wchodzi w jej zakres pojęciowy. Pojęcia zresztą mają to do siebie, iż dają sobą manipulować. O ile w połowie lat 80. wieku XX „opo-zycją antysystemową” określano właściwie wszystkie podziemne i pół-jawne struktury, w jakikolwiek sposób kontestujące prawomocność rządu PRL i jego poczyną pod dyktando PZPR/KPZR, to po „okrągłym stole” (z kantami, co trafnie dodaje Jany Waluszko) na miano to zasługiwać zaczęła jedynie NSZZ „S”. Taki stan rzeczy wykreowali ludzie skupieni wokół „Gazety Wyborczej” - nachalne zawężanie znaczenia odniosło wkrótce pożądaný skutek. Była też „opozycja konstruktywna” (ta, która zgodziła się zasiąść przy „okrągłym stole”) i „niekonstruktywna” (ci, którzy w Jastrzębiu-Zdroju zorganizowali Kongres Opozycji An-tyustrojowej - nieufni wobec rozmów stołecznych lub do nich nie dopuszczeni). Ten drugi termin pojawił się już w marcu 1989 r. na łamach „Polityki”, propagowały go media rzą-dowe i - niestety - podporządkowane II „Solidarności”.

Okres przedwyborczy roku 1989 przyniósł też kolejne, niewiele znaczące hasło „pojed-nania narodowego”. Lansowali je wszyscy „konstruktywni” - PZPR, nowa „Solidarność”, Kościół katolicki i całe rzesze zdezorientowanych przez media Polaków. Pojednanie miało objąć cały naród, ale tegoż narodu nikt o zdanie zapytać nie raczył. Nie przeprowadzono referendum, by dowiedzieć się, czy kaci powinni teraz spokojnie koegzystować ze swymi ofiarami. Zamiast tego, podająca się za liberałów ekipa Mazowieckiego zafundowała miesz-kańcom RP - skuteczną po dziś dzień - „grubą kreskę”.

W najbardziej prostackim zarysie - „system” to władza, tworząca prawo wedle swoich potrzeb, dysponująca środkami przymusu (wojsko, policja), i „niezależnymi” sądami. Dzi-siaj narzędziami władzy równie dobrze mogą okazać się Izba Skarbowa jak telewizja czy prasa. Zwłaszcza codzienna. „System” kiedyś pracował sam na siebie (feudalny król czy książę byli właścicielami ziem danego kraju i swobodnie nimi dysponowali, obdarzając od-danych, odbierając wrogom). Od czasu rozwoju kapitalizmu i powierzenia w ręce prywatne banków czy emisji pieniądza - „system” pracuje dla najbogatszych. Oni kreują premierów i prezydentów, oni stoją za zamachami stanu i mordami na niewygodnych politykach, w wielu krajach - także na „opornych” dziennikarzach. Oni ustami polityków wypowiadają wojny lub zawierają sojusze.

Zmieniają się jednak tylko główni aktorzy „systemu”, nie metody sprawowania wła-dzy. Tak przynajmniej odbiera stan spraw społeczeństwo. W rzeczywistości już Z. Bauman dostrzegł nową historycznie prawidłowość: władze poszczególnych państw cedują teraz część swoich uprawnień na organizacje ponadnarodowe (ONZ, UE, NATO etc.).

Polska pod rządami Donalda Tuska jest dobrą ilustracją prawdziwości tezy Jadwigi Sta-niszkis, która w opublikowanej na łamach „Wirtualnej Polski” z 24 stycznia 2008 wypo-wiedzi stwierdza: „Władza - zgodnie z definicją Laswella, czyli - polegająca na zdolności

przeforsowania swojej woli mimo oporu innych, już prawie nie istnieje. Rozproszona i podzielona, może co najwyżej pretendować do statusu „bycia przyczyną” i uruchomienia, lub - „przeorientowywania” zachowań innych w pożądanym przez siebie kierunku. (...) Ta władza bez podmiotów wypiera stopniowo formy, które znaliśmy w przeszłości. Wciąż jednak jest aktualna koncepcja władzy jako „zdolności penetracji” sformułowana w klasycznej myśli chińskiej. Chodzi o umiejętność spowodowania, by nasz interes był brany pod uwagę (choćby jako ograniczenie z którym trzeba się liczyć) przez aktorów, nad którymi już nie panujemy, a których decyzje mogą wpłynąć na nasz los. W Chinach uważano, że państwo istnieje dopóty, dopóki „penetruje” (w znaczeniu jak wyżej) algorytmy decyzyjne kluczowych podmiotów na własnych terenach i że o taki status należy bez przerwy zabiegać.”

Mówiąc nie naukowo: wprawdzie masy odgrywają od początku wieku XX coraz większą i - niekiedy - nieprzewidywalną rolę w dziejach społeczeństw, to jednak władza, używając do tego celu wszelkich dostępnych środków, jest jeszcze w stanie wytyczyć kierunek ich zachowań w miarę wygodnie dla siebie. Masy nadal muszą liczyć się z gniewem „systemu” i brać go pod uwagę.

Dzisiejszy neokolonializm bazuje np. na zjawisku, którego przykładem może być „tzw. „przemoc strukturalna”, gdy globalny *matrix* narzuca peryferiom procedury i instytucje z innej, niż ich, fazy kapitalizmu. W konsekwencji zasoby owych peryferii zaczynają pracować dla rynków innej, niż ich skali (i „czasu historycznego”) i trudniej akumulować kapitał” - powiada prof. Staniszkis.

„Przemoc strukturalna” (z jej istnieniem nie zgodziłby się np. Bartłomiej Świderek i ma ku temu pełne prawo) jest jednym z przejawów istnienia „systemu”. Bardzo zresztą skutecznym w przypadku wielu krajów Afryki (czy tylko?).

Czym tedy „system” jest dzisiaj i na czym opiera się jego tajemna siła przetrwania, mimo ciągłych modyfikacji postaci, pod jakimi występuje?

Skoro „prowincja mieści się w głowach” to czy nie można się, *per analogiam*, pokusić o stwierdzenie, iż w głowach mieści się także „system”? Rafał Górski starannie wykazał niedawno (*Opór społeczny w Polsce w latach 1944-1989*, Przegląd Anarchistyczny nr 6) rolę, jak pełni niezgoda społeczeństwa na wyznaczoną mu przez „system” rolę. Tak jak „system” powstaje w głowach jednych, tak opór jest domeną głów innych. Analogie nie zawsze się sprawdzają, prowadzą do nieskutecznych życiowo matryc zachowań, ale koniecznością staje się dziś odmitologizowanie „systemu”. Środowisko wolnościowe uczyniło z niego hasło, warte tyleż co „pojednanie narodowe” ideologów gen. Jaruzelskiego z jednej a ludzi pokroju Adama Michnika z drugiej strony.

„System” nie powstał i nie działa jako abstrakt. Był i jest dziełem konkretnych jednostek, zainteresowanych w jego utrzymaniu. Motywacje owych jednostek z pewnością nie są ani jednoznaczne, ani tożsame. Jedni potrzebują do szczęścia władzy, inni pieniędzy, jeszcze inni pieniędzy - dających władzę. „System” umożliwia sporej grupie ludzi robienie finansowych, politycznych, urzędniczych czy naukowych karier. Są więc zainteresowani w kontynuacji *status quo*, podobnie (co widać zwłaszcza w XX-wiecznych totalitaryzmach) jak nieudacznicy i niemal-analfabeci, pełniący funkcje obozowych strażników, szarych człon-

ków tzw. służb, aparatu partyjnego etc. Gdyby zamiast „systemu” zaproponowano im coś innego, a wymagającego mniej pracy, dającego większe zyski itd. - idę o zakład, iż większość z nich bez specjalnej skruchy przestałaby być funkcjonariuszami dotychczasowych realiów. Człowiek bowiem nie jest zawodowym pracusiem, co wykorzystują bez żenady *mass-media*, tworząc sztuczną, oderwaną od szarzyzny reszty tygodnia kulturę weekendowej rozrywki. Należy ona do „systemu” na równi z policyjnymi pałkami na plecach demonstrantów.

Ludzie tworzą „system” na zasadzie pasa transmisyjnego - polecenie wąskiego ośrodka decyzyjnego przekazywane jest coraz niżej i niżej, zawsze w strukturze pionowej. Wystarczy, iż rozkaz nie zostanie przekazany strukturze podrzędnej, by „system” przestał działać. Zazwyczaj jednak - działa. Brak ludzkiego ognia, które potrafi się zbuntować.

Jeśli jednak znajdzie się, nie jedno zbuntowane ogniwo, ale wiele, co wówczas? Stan taki historyk nazwie rewoltą, rewolucją, powstaniem. Na PEWIEN CZAS „system” przestaje funkcjonować. Potem wybrane racjonalnie lub wyłonione przez ludyczny chaos kolejne władze narzucą społeczeństwu swoją wizję świata, swój „system”. A zmęczeni ludzie pochylą głowy i do czasu będą mu posłuszni. Łatwość ulegania kolejnym systemom pokazywał w swoich doskonałych powieściach z pogranicza SF i socjologii - Janusz Zajdel. Nawet optymistyczne zakończenie „Wyjścia z cienia” niesie podwójne przesłanie - kosmiczni najezdźcy odlatują, ale podział Ziemi na strzeżone laserami kwartały - „tymczasowo” zostaje utrzymany.

Dlaczego jedne „systemy” wciąż zastępowane są innymi, nawet wówczas, gdy społeczeństwo świadome jest ich bezprawności, niesprawiedliwości etc., etc? Trudno powiedzieć, iż to akurat gatunek ludzki „jest skłonny” do ulegania „systemom”. W świecie zwierząt hierarchia istniała zawsze. *Homo sapiens* ją tylko usakralizował.

Skoro władza (a zatem i „system”) istniała od czasów wspólnoty pierwotnej, gdzie decydem był największy osiłek z najcięższą maczugą, to można przyjąć, iż istnieć będzie po kres biologicznego trwania naszego gatunku. Ale można też przyjąć inną wersję rozwoju wydarzeń - w naszych „głowach” z jakichś, nieznanych zapewne na obecnym szczeblu rozwoju, przyczyn - przestaną się wylegać myśli o „systemie” jako wszechwładnej KONIECZNOŚCI. W końcu taki kierunek ewolucji nie jest wcale wykluczony, nawet, jeśli w roku 2008 wszystko wskazuje na tendencję odwrotną: „widzialna władza” przestaje być „systemowi” potrzebną. Fikcję wyborów parlamentarnych (nie chodzi mi nawet o ich fałszowanie, tylko frekwencję przy urnach) łatwo w ogóle określić jako anachronizm i zlikwidować, jako przeżytek. Konstrukcje ordynacji wyborczych i tak idą w kierunku „sztuki dla sztuki” - jeśli na polityków zagłosuje tylko rodzina, a reszta elektoratu nie odejdzie od telewizorów, oglądając skoki Małysza czy inne medialne igrzyska, to i tak zostaną oni „reprezentantami narodu”.

Na razie „system” jest silniejszy od tego, co zwykliśmy określać jako władzę. Jeśli jednak nie zechcemy w nim uczestniczyć, choćby poprzez bierny opór na skalę masową, może się okazać, że uległ samorozkładowi. Ku temu jednak potrzeba zmiany świadomości - również w skali globalnej. „System” upadnie tylko wówczas, gdy „nie zmieści się w naszych głowach”.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Lech L. Przychodzki
Czy(m) jest „system”?

pl.anarchistlibraries.net